

Transkrypcja cz. 1: Danuta Szyksznian -błąd w opisie

[Marcin Bieńkowicz]: (...) Danutą Szyksznian(k?), nagrywa Marcin Bieńkowicz z Muzeum Armii Krajowej. Witam Pani Danuto, czy mogłaby Pani gwoli wprowadzenia opowiedzieć o swoich korzeniach patriotycznych?

[DS]: Dzień dobry bardzo, powiem. Nazywam się Danuta Szyksznian, pseudonim "Sarenka", jestem w stopniu kapitana, pochodzę z rodziny wojskowej, mój ojciec był wojskowym zawodowym w stopniu chorążego, służył w Wilnie w 1 Pułku Artylerii Lekkiej Legionów. Był legionistą również i tak pozostał w tym wojsku. Mamusia była Krakowianką. Tatuś pochodził z Suchoj Beskidzkiej, był górąlem, mamusia za to pochodziła z Krakowa, ale spotkali się na Wileńszczyźnie i tam była miłość od pierwszego wejrzenia, pobrali się, ale na poród mamusia pojechała do Krakowa, także ja się urodziłam w Krakowie, nie w Wilnie, ale mimo wszystko czuję się wilnianką, ponieważ tam byłam od początku. Później po miesiącu mamusia wróciła i już całą młodość spędziłam w Wilnie.

(01:13) Miałam 13 lat jak usłyszałam słowo "wojna". Przyszedł tatuś w ciągu dnia pożegnać się z nami i właśnie nam oznajmił, że wybuchła wojna. Jeszcze nie zdawałam sobie sprawy, co znaczy to słowo "wojna". Zresztą większość z nas nie wiedziała. Wiedziałyśmy tyle co czytałyśmy, bo zresztą byłyśmy wychowane na książkach historycznych, przeważnie tak było, moje pokolenie było wywoływane w duchu patriotycznym, uczono nas miłości do ojczyzny. Moi rodzice nie mieli syna, tylko mieli dwie córki, więc wychowywali nas tak, jakbyśmy były ich chłopcami. Rodzina była bardzo patriotyczna. Mamusia była polonistką, (więc miałam) wychowywanie na poezji historycznej, na literaturze historycznej. Przerazenie nie było jeszcze tak wielkie, jak się usłyszało wojnę, bo nie wiedzieliśmy co niesie to słowo, a to słowo niosło właśnie rozpacz, aresztowania, morderstwa i samą tragedię.

Ponieważ tatuś musiał opuścić Wilno jak wkraczało wojsko radzieckie, zostałam ja, odchodząc, tatuś żegnając się poprosił, żebym się opiekowała mamusią i młodszą siostrą. Jak tatuś już przeszedł granicę litewską, tam został internowany, zostałam tylko z mamą i z siostrą w domu. Ponieważ jeszcze wtedy była szkoła, uczęszczałam do Szkoły Sióstr Nazaretanek w Wilnie i wstąpiłam do takiej młodzieżowej organizacji, to był Związek Wolnych Polaków. 1939 i 1940 rok jeszcze była szkoła nasza, potem Sowieci wywieźli zakonnice, zniszczyli szkołę, ale była jeszcze szkoła rosyjska i rzucili nas do tych szkół, które

zostawili. To były szkoły męskie, bo przed wojną osobne były szkoły żeńskie, osobno szkoły męskie. Przerzucili nas do szkół męskich, ja chodziłam do Gimnazjum imienia Adama Mickiewicza, tam bardzo dużo było tych kolegów właśnie ze Związku Wolnych Polaków, to się kiedyś nazywało Liga przed wojną, Liga Wolnych Polaków i tam wstąpiłam do tej organizacji.

Od trzynastu lat nie bardzo przyjmowano do organizacji wojskowej, ale ponieważ pochodziłam z rodziny wojskowej, znali mnie tam wszyscy oficerowie od dziecka, więc zostałam przyjęta wkrótce do wojskowej organizacji. Brałam udział w tym strajku jak naszych nauczycieli usuwali ze szkół, a obejmowały je Litwini. Nasza młodzież wystąpiła ze strajkiem w obronie nauczycieli. Ja również brałam w tym udział, udało mi się, że nie zostałam aresztowana, jakoś mi się to udało.

(04:34- 04:47) problem techniczny, do wycięcia

Później jak wstąpiłam do wojskowej organizacji, miałam te czternaście lat, byłam pod dowództwem kapitana Jana, kapitan ten służył razem z moim ojcem w wojsku, znał mnie od dziecka i przyjął mnie.

[MB]: Czyli na Kalwarii? Komenda na Kalwarii?

[DS]: Na Kalwaryjskiej, tak, ale to jeszcze wtedy nie było Kalwaryjskiej, tylko w centrum Wilna. Moja mama wołała, żebym była w wojskowej organizacji, bo ona również wstąpiła do organizacji wojskowej i tak zawsze uważała, że jak ona jest w pobliżu mnie, to mnie nic się nie stanie. O ojcu nie mieliśmy żadnej wiadomości dosyć długo, tatuś dopiero na Wigilię chyba wrócił, już nie pamiętam, ale tak było, pod koniec grudnia wrócił, wiem, że to była zima. Uciekł z tego obozu internowania z Litwy no i też wstąpił do organizacji, także już cała rodzina, bo i tak rodzice wiedzieli, że jeśli któreś z nich wpadnie, to cała rodzina będzie cierpiała, no to woleli, żebym ja była razem z nimi i byłam u dowódcy, tego Jana.

Naturalnie, byłam jeszcze za młoda, bo miałam czternaście lat, to nie powierzano mi funkcji takich poważnych, chodziłam na takie stójki, obserwowałam domy, obserwowałam jak było jakieś spotkanie dowódców, to ja stałam na warcie przed domem, patrzyłam czy czasem ktoś się nie zbliża, żeby powiadomić.

[MB]: I to był Związek Polaków cały czas?

[DS]: To już nie, to już ja byłam w wojskowej organizacji, takie powstały Kluby Wojskowe.

[MB]: Koła...?

[DS]: Koła Wojskowe, Pułkowe, i ja byłam w tym Kole Pułkowym.

[MB]: Tata był w jakim Kole? W Kole Artylerii, tak?

[DS]: Artylerii, tak, więc to była wtedy Służba Zwycięstwu Polski, tak nazywała się.

[MB]: A Koła były nawet wcześniej, kto był dowódcą tego Koła Artylerii?

[DS]: No właśnie mówię, kapitan "Jan".

[MB]: Kapitan "Jan", tak?

[DS]: To był, Bolesław Zagórny. On mieszkał tam obok nas, rodzice się przyjaźnili, chodziliśmy przed wojną odwiedzać się nawzajem, więc znał mnie od dziecka i przyjął mnie. Wykonywałam takie proste sprawy, jak właśnie mówię, że na przykład przed drukarnią miałam dyżury po 15 minut, żeby obserwować czy ktoś się nie zbliża i tak minął czas. Potem był Związek Armii Zbrojnej no i następnie w 1940 roku, w drugiej połowie 1940 roku, w garnizonie, w legalizacji, porucznik Stanisław Kiałka organizował taką grupę dziewcząt jako łączniczki. Ja miałam wtedy już te 15 lat, to też jeszcze za mało, żeby złożyć przysięgę i być żołnierzem Armii Krajowej, bo od 17 lat właściwie przyjmowali, ale ja już byłam znana, już tam wykonywałam te swoje czynności, byłam też aresztowana przez Sowieców, ale króciutko, bo w 1941 wkroczyli Niemcy i udało mi się jakoś znowu z tego wyjść. W 1941 roku zostałam zaprzysiężona, to już miałam 16 lat, brakował mi ten rok. Ponieważ porucznik Stanisław Kiałka organizował taką grupę dziewcząt do przerzutu broni, do przerzutu jakiejś korespondencji czy raportów, no i kapitan Bolesław Zagórny - kapitan Jan, skierował mnie do Stanisława Kiałka.

(08:58) Przyszłam na spotkanie, gdzie przyszło 12 osób, wszystko młode dziewczyny, średnia naszego wieku to była 19 lat, ale to tylko dlatego 19, że były trzy nauczycielki, które nam podwyższyły tę średnią swoim wiekiem, a my byłyśmy bardzo młode, ja miałam 16 lat. Bardzo się bałam, że nie zostanę przyjęta, a tak bardzo chciałam wreszcie coś robić, bo mi się wydawało, że nie wiek, tylko sama chęć wielkiej walki to to już wystarczy, a no nie i bałam

się, że nie przyjmie mnie, bo już wszystkie miały po 17 i więcej lat, 18, a ja jedna byłam taka młoda. Serce mi biło, czekałam, czy zostanę przyjęta czy nie i w pewnej chwili ten porucznik Kiałka, pseudonim "Jelonek", popatrzył na nas, załamał ręce i tak powiedział: "Co ja będę robić z tymi kozami" - tak nazwał nas kozy, bo taka młodzież i mówi tak wreszcie: "W takim razie będziecie miały kryptonim, grupa będzie miała kryptonim "Kozy". " I z tego to tak wypadły te kozy.

(10:12) Było nas dwanaście, w tym były trzy starsze od nas, ale młode nauczycielki. Teraz przyszło do mnie i ja już myślę: "No mnie nie przyjmie, bo 16 lat mam" - A on mnie pyta: "Ile ty masz lat?" - A ja odpowiadam: "Będę miała 17". On mówi: "No będziesz, i 18 będziesz miała" - mówi - "I więcej będziesz miała". No nie przypuszczał, że będę miała aż 87 lat. Ale mówił będziesz, zaśmiał się, ja sobie myślę "No koniec, to już mnie nie przyjmie, ale nie wiem co mam mówić", więc on popatrzył i mówi tak: "Będziesz miała pseudonim "Sarenka". " No to już wtedy od razu radość, serce zabiło, zarumieniłam się po korzenie włosów i myślę sobie: "No dobrze, to znaczy, że jestem przyjęta". Byłam szczęśliwa po prostu. Złożyłam przysięgę no i byłam w tej grupie "Kóz". Były tam już poważne sprawy, poważne akcje, w których brałam też udział. Nasza grupa to już jest legendarną grupą, bo też wszyscy znali te "Kozy" Wileńskie. Robiliśmy bardzo odważne akcje, na przykład jak już wkroczyli w 1941 roku Niemcy, ktoś tam wsypał drukarnię. Gestapo przyszło, aresztowało, ale mieliśmy tam bardzo dobrze ukryte w ścianach, ceglami zabite wszystkie te czcionki, jakieś...

[MB]: Szyfry, tak?

[DS]: Tak, no i nie znaleźli ich jeszcze tego dnia pierwszego, ale ludzi aresztowano i my w czasie kiedy ich zabrano i wyszli z tej drukarni - zabrano ludzi, aresztowano - to my właśnie, "Kozy", wyniosłyśmy wszystkie czcionki, wszystkie maszyny i przewiozłyśmy sankami na drugi koniec Wilna, więc to była akcja bardzo wielka. Na drugi dzień przyszli i już było wszystko puste, wyczyszczone, także bardzo dużo pochwał dostaliśmy od dowódcy. Ponieważ porucznik Kiałka był prawą ręką "Wilka", więc często "Wilk" też nas, jako łączniczki wykorzystywał. Ja byłam właśnie jedną z tych łączniczek, która znała, gdzie mieszka "Wilk", tam odnosiłam raporty i przynosiłam od niego. Mieszkał wówczas - może miał kilka takich punktów, bo najczęściej dowódcy mieli kilka punktów - ale wiem, mieszkał na Wiosennej w Wilnie, to jest obok kościoła Piotra i Pawła, ja tam nosiłam dla niego raporty.

(13:08) A tutaj, tutaj zaczęliśmy nosić broń, przynosiliśmy, kupowaliśmy benzynę, za którą też była kara śmierci, także dosyć odważne akcje jak na dziewczęta, prawda? Tym bardziej, że łączniczki - tak wiele się mówi o chłopcach, a o dziewczynach nie - a one też wykonywały bardzo piękną służbę i szczęście, że nas uznano za żołnierzy i dostałyśmy wszystkie uprawnienia żołnierza Armii Krajowej. I tak mijały te lata, rok za rokiem, coraz były silniejsze, coraz były większe jakieś akcje, wreszcie okazało się, że nasza opiekunka, nauczycielka, pani Maria Tomkiewiczówna - ktoś ją wydał w czasie śledztwa, nie wytrzymał tortur - została aresztowana, została stracona w **Ponarach(?)**. Zostałyśmy pod opieką drugiej nauczycielki, ale w międzyczasie zostało aresztowanych pięć łączniczek od nas, z dwunastu to jest dużo. Także jak te pięć łączniczek aresztowano, bo też ktoś nie wytrzymał tortur i wydał je, i złapano je z dowodami, bardzo ciężko było, także niektóre miały karę śmierci, ale też zostały wykupione przez panią Augustowską, która miała w Wilnie aptekę. To była matka mojego późniejszego dowódcy, która cały swój dobytek i cały swój majątek życia wydawała na wykupowanie od Niemców tych żołnierzy Armii Krajowej którzy byli na karze śmierci. Dziewczęta zostały wywiezione do **Prowiniszek(?)**.

(15:02-15:05 problem techniczny, do wycięcia)

Po prostu jak zabrakło tych pięciu dziewczyn, to nasza grupa się rozpadła i ta nasza opiekunka, naszą kierowniczką tej grupy też została rozstrzelana w **Ponarach(?)**, no więc nas przerzucono różnie. Ja poszłam do Kedywu, tam zostałam skierowana. Nie byłam w takich tam w wykonawczych sprawach, ale też jako łączniczka nosiłam raporty, nosiłam te wszystkie. Ponieważ dobrze znałam język niemiecki, w szkole jakoś mi wszystko łatwo szło, znałam język niemiecki, więc mnie postawiono do pracy w **PC???**, to jest taki kiosk na dworcu gazetowy niemiecki, tylko dla Niemców. Ja sprzedawałam te gazety, ale przyjmowałam tam raporty, to była też skrzynka taka kontaktowa, przynosili mi tam raporty w gazecie, ja tą gazetę brałam, wtedy odchodziłam i wynosiłam. Naszym kierownikiem był kapitan... Ciesierski może, już widzi Pan, uciekają mi nazwiska, w każdym razie kapitan, który nosił pseudonim u nas "Szeł". Było trzech takich kurierów, którzy roznosili gazety po dworcu i naszym zadaniem było skupywanie broni od Niemców. Bardzo to było niebezpieczne, bo taki Niemiec mógł nam sprzedać broń, ale mógł za chwilę nas wydać, prawda? No więc chłopcy byli na tyle inteligentni i sprytni, że nie kupowali od Niemców, tylko od Austriaków, od Hiszpanów, Czechosłowaków, bo Ci chętnie nam sprzedawali broń, tylko zawsze prosili, żeby nie strzelać z ich broni do nich, nie? Oni wiedzieli i rozumieli, co jest. A jak chłopcy kupili taką broń, to przynosili do kiosku, "Szeł" od razu mi dawał adres i hasło i musiałam to przewieźć.

[MB]: Jakie to były rodzaje broni?

[DS]: Krótka broń.

[MB]: Pistolety, tak?

[DS]: Tak, pistolety najczęściej.

[MB]: Dłuższej broni raczej...

[DS]: Raczej nie, to były zdobywcze już.

[MB]: A pociski na przykład? Udawało się jakieś do granatników czy coś w tym rodzaju?

[DS]: Nie nie nie, tam to ja nie przypominam sobie, ja nosiłam tą krótką broń zawsze. Wiem, że jeszcze jeden z kolegów to tak chodził po tych wagonach i gdzieś tam zawsze trochę amunicji zbierał. Gdzieś tam wypadło im, nie wiem jak to było. W każdym razie to było trzech chłopców, już nie żyją, ani jeden nie żyje z nich, jeden zmarł dopiero w zeszłym roku, mieszkał tu w Szczecinie.

[MB]: Jak się nazywali?

[DS]: Jeden się nazywał Eugeniusz Królikowski - to był najstarszy z nas chłopak.

[MB]: A pseudonim?

[DS]: Miał jakiś pseudonim, nie pamiętam... G(i?)enek, Genek, Genek, tak było, imię jego było pseudonimem też. Drugi był Rysiek, ale nie pamiętam nazwiska już, a trzeci to był ten najmłodszy, z którym najwięcej miałam różnych akcji, to był Paweł Markiewicz. Mieszkał tu, w Szczecinie i dopiero w zeszłym roku zmarł. To był bardzo młody, był młodszy o rok ode mnie chłopak, bardzo sprytny i on zawsze najwięcej jakoś zdobywał. **(18:31)**

[MB]: A gdzie Paweł Markiewicz mieszkał?

[DS]: Mieszkał na ulicy... tutaj w Szczecinie, koło wiaduktu kolejowego na Nieboszelnej.

[MB]: Ale mi chodzi w Wilnie, bo ten Pan Marian Markiewicz o którym wspominałem, który był w Krakowie u nas też pochodził z Wilna, więc zastanawiam się, czy to rodzina.

[DS]: Właśnie on miał jeszcze braci, nie wiem, dwóch czy trzech miał braci, ale tam w Wilnie to nie wiem gdzie mieszkał, nie wiem. Bo wie Pan, że się wtedy nie pytało o nic, nie? Tylko że do zeszłego roku tośmy się tak przyjaźnili, wspominaliśmy te nasze akcje, co się robiło. Bo ja na przykład jak szłam kupić benzynę od Niemców - to znaczy tam ktoś inny ze starszych uzgadniał, a ja tylko dostawałam pieniądze i szłam po odbiór, to on zawsze ubezpieczał. On taki smarkacz, ale szedł po drugiej stronie i widocznie też miał broń, żeby mnie ubezpieczać

[MB]: Ile miał? W jakim wieku był wtedy?

[DS]: 16 lat, też pod 17, ale był odważnym chłopcem.

No i byłam przez jakiś czas w tym Kedywie i później przerzucono mnie do grupy... Aha, potem brałam udział w Powstaniu Wileńskim w 1934 roku i znowu trafiłam do kapitana Jana, tam na Kalwaryjską.

[MB]: No właśnie, czy pamięta Pani przebieg, bo na Kalwarii był szereg udanych akcji, zdobycie koszar...

[DS]: Tak tak, no więc my najszybciej oczyściliśmy tę dzielnicę, chociaż tam było bardzo, bardzo ciężko, bo Niemcy wielki opór stawiali, dlatego, że oni uważali że to jest bardzo ważny punkt strategiczny w Wilnie. A przecież my nie byliśmy tak uzbrojeni, właśnie tam zdobyliśmy dużo broni i ammatki jakiejś, i różne inne, także walka była bardzo zacięta, ale bardzo szybko żeśmy to zrobili, także to jest chwała dla kapitana Jana.

(20:40) [MB]: Bo to było coś w rodzaju wileńskiej można powiedzieć Pragi, tak? Jak Wisła ma Pragę, to Kalwaria to jest wileńska Praga, prawda?

[DS]: Tak.

[MB]: I ona została w pełni opanowana już 8 września, 9 września?

[DS]: W pełni, tak i nasi chłopcy się posuwali do przodu; właśnie ta akcja “Ostra Brama” - ja jestem przeciwna temu, bo to było normalne, prawdziwe zorganizowane **p**Powstanie Wileńskie, ale tak ciężko wypowiedzieć te słowa “**p**Powstanie Wileńskie”, każdy mówi: akcja “Ostra Brama” - akcja to jest jednodniowa!

[MB]: W zasadzie operacja.

[DS]: Operacja “Ostra Brama”.

[MB]: Akcja “Burza”, a operacja “Ostra Brama”.

[DS]: Tak, bo żeśmy szli w stronę Ostrej Bramy do centrum, nasza grupa naszych żołnierzy tych z Kalwaryjskiej doszła aż pod ratusz na Wielkiej. Ja kiedyś tam musiałam przenieść te meldunki do porucznika “Mocnego”, który został tam ranny, akurat na moich oczach prawie. Wysunął się z bramy, patrząc, a Niemcy obsiedli ratusz i ten ratusz tak stał na placu, że wejście na Wielką mieli jak na dłoni i trudno było takie małe przejście, bo to było takie zwężone z Zamkowej na Wielką. Ta ulica była zwężona i nie można było przejść przez ten maleńki skrawek, dzisiaj to mi się zdaje, że kura by przeskoczyła, ale wtedy nie mogłam przejść, bo wciąż strzelali. Myślę: co się dzieje, kto to widzi? - No ale był nalot, bo **Niemcy się bardzo bronili, bardzo mocno, byli i z góry, i z dołu, a my co, my tylko tą broń** co żeśmy zdobyczną mieli, prawda? A z **(?)** walki, takie walki uliczne, to zupełnie inne, niż gdzieś tam w terenie, prawda? Trzeba było zdobywać bramę po bramie.

(22:53) Ja ledwo tam przeleciałam jak był nalot na drugą stronę i doszłam do tego porucznika “Mocnego”, on był ranny, tam ktoś objął dowództwo, przekazałam ten raport i musiałam z powrotem wracać. Wróciłam tam na Kalwaryjska i do końca Powstania byłam na Kalwaryjskiej. Niby się zakończyła ta nasza wojna, Wilno zostało oczyszczone Chłopcy zaczęli przychodzić - bo tam sztab był na tej Kalwaryjskiej - zaczęli chłopcy na przepustki przychodzić i tyle radości ja tam się napatrzyłam, że ten żyje i ten żyje. Byli bardzo zmęczeni, byli okurzeni, zmordowani chłopcy, bo to upały były; dziewczyny z tymi torbami sanitarnymi przychodziły, była radość niesamowita. Wówczas dwóch kolegów z Szarych Szeregów zawiesiło flagę na Górze Zamkowej, ja to widziałam. Byliśmy dumni, byliśmy szczęśliwi, to była chwila szczęścia ogromnego. Niestety nie trwała długo, zaraz

Sowieci tam strzelali, postrzelili tego naszego kolegę, a on był z Krakowa, on mieszkał w Krakowie, imię już zapomniałam.

[MB]: Czy po wojnie mieszkał?

[DS]: Tak, po wojnie, po wojnie. Jerzy chyba on miał. Jerzy z Szarych Szeregów. A drugi był Hoffman, który potem był ze mną w obozie i tam zmarł. Więc Ci dwaj powiesili tą flagę, trwało to nie za długo. A przed tym właśnie wywieszeniem flagi, to był chyba 13 - już mi teraz trudno wszystko opowiadać.

[MB]: Tak tak. 13 lipca.

[DS]: Tak, 13 lipca zawiesili tą flagę. A może 12 czy 13 do południa przyjechał na koniu, w pelerynie, przedstawił się, że jest dowódcą **?Czerniachowski?**

[MB]: Czyli **??**

[DS]: Ale czy to on był to nie wiem na pewno, bo mógł się tak przedstawić. Gratulacje "Janowi" składał, mówił że takich dzielnych ma żołnierzy, że taka przyjaźń, że stworzymy armię i żeby on stworzył listę do medali, do odznaczeń. Ale jak myśmy zobaczyli, że zdjęli flagę i powiesili czerwoną, to kapitan Jan mi powiedział: - Danka, zniszcz tę listę, bo już przyjaźni nie będzie. -

(25:43) Dostałam rozkaz zejścia w podziemie pewnego dnia, to już po 17 było. Dostałam rozkaz zejścia w podziemie, bardzo płakałam, bo nie chciałam...

[MB]: A moment aresztowań Pani pamięta? Dowódców?

[DS]: Wszystko pamiętam, Tak, więc właśnie pamiętam, jak to było. No więc po aresztowaniu "Wilka" i aresztowaniu "Jana" - bo wtedy wyjechali nasi dowódcy do Bogusz i tam ich rozbrojono. Jak dowiedzieliśmy się, że został aresztowany "Wilk", że zostali aresztowani dowódcy, że rozbijają żołnierzy naszych tam w **?bemoncie** i w ogóle, także dostałam rozkaz od jakiegoś oficera, już nie pamiętam kogo, ale dostałam rozkaz zejścia do podziemia. Bardzo płakałam, no nie chciałam. Mówię: - jak to, to, tu wszyscy zostają, a ja mam iść? - Ale powiedział mi, że bym pamiętała, że będę potrzebna jeszcze. Zostałam więc

skierowana - bo dotychczas nie było takiego rozkazu żebyśmy walczyli z Sowietami, jedynie mogliśmy z tymi partyzantkami się bronić jeżeli byłby napad, ale właściwie nie było takiego nakazu, żeby walczyć z Sowietami, bo oni byli przyjaciółmi naszych przyjaciół, prawda? Ale już tutaj zorientowaliśmy się jacy to są przyjaciele, więc powstał specjalny oddział do walki z Sowietami. Objął ten oddział jako dowódca Zygmunt Augustowski. Troszkę tam o nim źle teraz piszą, ale ja to i tak go bardzo szanuję, uważam, że to był wspaniały człowiek i nie bardzo mogę uwierzyć w to, co tam o nim piszą. Prawda musiała być jakaś, ale nie taka, bo też rozmawiałam z Panem ?Nilińskim?, pan Niliński mówi: - proszę pani, nie jest aż tak źle, bo on nikogo nie sypał, w czasie śledztwa zupełnie inaczej to było, więc on tylko potwierdził tam coś. Ja nawet nie chcę czytać i nie chcę o tym myśleć, bo dla mnie to był człowiek naprawdę ?wzorem?.

[MB]: On chyba tutaj wprowadza Okręg Wileński do Polski zdaje się i aresztowany był dopiero na terenie Polski w 1946 czy 1947

[DS]: On razem jeszcze współpracował z "Łupaszka".

[MB]: To znaczy z Olechnowiczem? Chyba Olechnowicz był komendantem, a "Łupaszka" był dowódcą.

[DS]: Ale on z "Łupaszka" też miał kontakt, tak.

[MB]: Tak tak, kontakt miał.

[DS]: Ja do końca jego śmierci to bywałam w Warszawie, oni nie mieli dzieci, oni mnie tak traktowali jak córkę i dla mnie to było święte, to był wzorzec, to też był jeden z tych w których ja patrzyłam jak obrazek. On mi powiedział: - Masz teraz walczyć dalej, bo jesteś potrzebna. - No i ja zesłam w to podziemie, i byłam u tego Augustowskiego łączniczką. Nadal miałam ten pseudonim "Sarenka", ale czasami też miałam pseudonim drugi "Dan" - to zależę od tego gdzie, co wykonywałam. Tak byłam do końca tego roku 1944, pracowałam tam. Też były różne akcje bardzo bardzo odpowiedzialne, właśnie to skupowanie tej benzyny, bo to jeszcze Kiałka robił. Już Kiałka był wtedy aresztowany, ale przedtem to Kiałka robił takie granaty "Sidelówki", to benzynę się wykupywało. To też było

bardzo niebezpieczne, bo ja szłam z takim jakimś hasłem do tej organizacji “?tod?” niemieckiej i tam dawałam pieniądze, on mi wlewał do kanistra benzynę i ja niosłam. Nie wiem, czy ktoś to czuł, ale ja czułam tę benzynę, ja słyszałam jak ona chlupie, no wcale to nie było przyjemne, widząc jak spacerują Niemcy i wszyscy, a wiedziałam, że to jest przecież kara śmierci za to, ale jakoś mi się to udawało do końca tego 1944 roku. W 1944 roku były straszne aresztowania. Sowieci to mieli metody przeróżne, wspaniałe, ja nigdy nie wiem kto od kogo się uczył, czy Niemcy od Sowietów czy Sowieci od Niemców, ale były i tortury i wszystko bardzo podobne., i śledztwa bardzo podobne. Zostałam aresztowana przez NKGB, bo to polityczna była komisja i przeszłam śledztwo na alei

(30:20 - techniczne, do wycięcia)

Na alei Słowackiego, to tak jak Aleja Szucha, w Wilnie to Aleja Słowackiego. Tam tylko się jeździło na śledztwo i w tych kazamatach, bo to były takie lochy naprzeciw dyrekcji kolejowej, na Górze Bouffałowej na Alei Słowackiego w lochach myśmy siedzieli, a śledztwa odbywały się trochę wyżej, ale tam torturowano niesamowicie, widziałam. Ja nie byłam torturowana, ale byłam bardzo bita i wtedy już miałam uszkodzony kręgosłup, nie chodziłam, ale przetrwałam to wszystko. Potem mnie przerwali po zakończeniu śledztwa, właściwie nic mi nie udowodnili.

[MB]: A kiedy Pani została aresztowana?

[DS]: 24 grudnia w 1944 roku, w samą Wigilię. Śledztwa miałam przez cały tydzień. Mam wszystkie dokumenty, dostałam z archiwum w Wilnie, całe śledztwo - wszystkie moje zeznania, wszystko. Dowiedziałam się właśnie z tych dokumentów z Wilna kto mnie wyspał i jak tam mu się układało. Przesiedziałam tam ten tydzień od Wigilii, a 3 stycznia przewieźli mnie na Łukiszki. Tam jeszcze przychodził śledczy, jeszcze mnie tam wypytywał, jeszcze straszył, że zaocznie mnie skazano na 10 lat, ale żadnego sądu nie było, ja nie byłam nigdy na żadnym sądzie. Oni mieli w ogóle taki sposób, że dzielnicami aresztowali i zawsze z każdego domu chociaż jedną osobę brali i niektórzy nie wytrzymywali tych tortur i śledztwa i sypali. Już dalej wtedy był jakiś ciąg, prawda?

Właśnie stamtąd 3 stycznia zostałam przewieziona na Łukiszki, a 10 marca nas wywozili do Łagrów. Jeszcze musiałam podpisać im ten protokół, straszili mnie, że na 10 lat jestem skazana, ale nie byłam na sądzie ani nie mam takiego dokumentu, że byłam sądzona i dostałam się do łagru tak zwanego filtracyjnego w Saratowie. Przeważnie tam byliśmy nie

osądzeni wszyscy, na taki filtracyjny okres, gdzie jeszcze badano, że może ktoś wysypie, może jeszcze coś, to wtedy dopiero nami się zajmą.

Tam bardzo ciężko chorowałam. Byłam młoda, za ciężka była praca, to śledztwo, to wszystko się odbijało, ten głód, te wszy, które nas zjadały żywcem po prostu. Przeżyłam niesamowite piekło na ziemi - ale może i dobrze czasem przeżyć piekło na ziemi, bo potem bardziej się docenia szczęście i dni szczęśliwe. Stamtąd zostałam do tego Saratowa przewieziona, gdzie bardzo ciężko pracowałam przy kopaniu rowów. Ja nie mogłam podnieść łopaty z tą gliną, bo to ziemia była taka gliniasta, a jak się nie zrobiło normy, norma była bardzo ciężka, metr osiemdziesiąt nawet głębokości i tam jeszcze jakiś metr ileś szerokości wykopać w ciągu dnia taki rów. A ziemia twarda, gliniasta, to nie na taką dziewczynę - młodą, szczupłą - jak ja byłam, prawda? Także zachorowałam na tyfus plamisty. Najpierw na tyfus brzuszny - nie skończyła się jeszcze choroba, jak zachorowałam na tyfus plamisty, bo przecież wszy przenosiły. Akurat leżałam tam, gdzie na terenie łagru był szpitalik. Lżej chorych wywożono do Saratowa do szpitala, a w obozie tych bardzo ciężko chorych zostawiali w szpitaliku w łagrze, bo już wiedzieli, że nie wyjdiesz z tego szpitalika, ale ja jakoś szczęśliwie przebrnęłam dwa tyfusy. Dzisiaj jeden i ludzie w szpitalu przy opiece umierają, a ja przetrwałam te dwa, z tym że bardzo byłam wycieńczona, bardzo.

(34:49) Ja nie ważyłam trzydziestu kilogramów, taka byłam wychudzona, wynędzniała, byłam w śmierci klinicznej. Ale jak już doszłam do siebie, wyszłam z powrotem, wróciłam do obozu i tam byłam z koleżankami w jednej celi. Także wtedy już jako czwarta kategoria, bo ledwo się trzymałam na nogach, już mnie do roboty nie brali, ale żeby dostała tę miskę jakiejś wstrętnej stawy, to musiałam coś robić, to sprzątałam na terenie obozu. Ponieważ znałam też dobrze język rosyjski i pisałam, to czasem mnie brano do biura do księgowości, bo się też znałam na tym. Także tam trochę pracowałam, to czasem dostałam miskę zupy takiej troszkę lepszej, bo nam to gotowano na łupinach i na tych wnętrzościach i głowach, które smażyono dla całej tej załogi obozu. Nam (dawali) te flaczki i te głowy, i łupiny, nie ziemniaki - na tym zupy żeśmy jadły. Bród, smród, bieda, nędza okropna, zimno, upały, bo tam też klimat bardzo był niezdrowy, bo tam były mrozy albo upały. Nieraz tak było, że minusowa była temperatura w nocy, a w dzień były ponad możliwości pracowania, także w nocy musieliśmy pracować, bo w dzień nie było sposobu utrzymać się. I tak przeżyłam tam do września. We wrześniu zostałam zawiadomiona, że zostaję zwolniona, że Stalin, naturalnie "Bóg" i "Car", daruje mi to, co zrobiłam, że zdradziłam ojczyznę naturalnie, bo za to dostałam ten paragraf 58. Zostałam zapisana do pierwszej grupy do zwolnienia. Byli to przeważnie najmłodsi. Kolega, który tu jeszcze żyje i mieszka w Szczecinie, Tadek Szut(?),

który miał 16 lat w obozie, był jeszcze bardziej wycieńczony niż ja, bo on nawet nie mógł ustać na nogach, ale żyje jeszcze do dnia dzisiejszego. On został zwolniony, potem kolega, który był chory na serce został zwolniony, trzydzieści osób, wszystkie młodsze.

[MB]: A który to był rok?

[DS]: 1945, we wrześniu. Zostaliśmy zwolnieni i powiedziano nam, że trzeba dziękować, bo Stalin nas ułaskawił i jeżeli chcemy, możemy zostać, to Stalin nam pozwoli się kształcić w Moskwie. Ale myśmy podziękowali, powiedzieliśmy, że my się będziemy kształcić u siebie. Śmiali się z nas, że nie mamy po co tam jechać, bo tam to samo jest co tutaj, bo też oni będą, już nie ma Polski i tak dalej. W tym obozie to nie było gnębienie i męczenie ludzi ciężką pracą, głodem, chłodem, ale także i psychicznie nas łamano. Ale jakoś wytrzymaliśmy, te silniejsze organizmy wytrzymały, a słabsze powymierały, bardzo dużo ludzi umarło. Sam ten pobyt w obozie to ja opisałam w książce, to za długo by było mówić. Pewnej nocy przyszli, wezwali nas, zrobili grupę i powiedzieli, że jesteście zwolnieni, ale jeszcze nie dostaniemy na piśmie zwolnienia, to nas odprowadzają, nie wiedzieliśmy gdzie. Całą noc nas gnali w step. Przegnali nas gdzieś w step i tam była taka ziemianka, widocznie po Niemcach to było. Tam nas zostawili. Rano się budzimy, byliśmy bardzo zmęczeni całą noc i to nie na nasze zdrowie było, nie na nasze siły. Wszyscyśmy padli i od razu spaliśmy w tej ziemiance. Budzimy się rano i nie ma ani straży, ani nikogo, nie wiedzieliśmy co tu jest grane, zostawili nas tak zupełnie bez niczego. Nie pamiętam czy to był tydzień, czy to były dwa, po prostu trudno mi dzisiaj to już określić, ale byliśmy bez jedzenia, bez wody, w centrum stepu. Tylko wielbłądy w koło, nigdzie dojść nie można. Chłopcy wyruszyli w step, (licząc), że może gdzieś znajdą wieś, czy coś się dowiedzą co się z nami dzieje, dlaczego nas zostawili. Wody nie było, więc piliśmy po prostu trawę, którą się wyciągało i ssało ten się ten nektar. Ale pewnego dnia koledzy znaleźli plantację słoneczników i tym żyliśmy. Nie powiem, nie mogę powiedzieć czy to był tydzień czy to były dwa, bo to już się zamazało. Zresztą my też sobie wtedy nie zdawali sprawy jak to długo, bo dla nas to była wieczność tam na tym stepie. Pewnego dnia przyjechali (z obozu) i mówią, że przywieźli nam te zwolnienia, dostaliśmy na piśmie zwolnienia z obozu i że nas wiozą na dworzec do Saratowa i możemy jechać do Polski. Z tym, że zakaz był nam wjazdu do Wilna. Teraz tak, siedzimy tam w tym Saratowie, trzy dni na dworcu, żaden pociąg nas nie bierze, bo my ani pieniędzy nie mamy, ani nic nie mamy, tylko zwolnienie z obozu. Bardzo źeśmy długo tam siedzieli, te trzy dni znowu jeść nie mamy co.

Trzeba powiedzieć, że w każdym państwie są ludzie i ludziska. Ja nie narzekam na żaden naród, bo wszędzie byli ludzie, a tam ludzie byli bardzo biedni. Tam każdy z nich siedział, każdy miał zniszczone życie, ale byli tacy, którzy nam rękę podali, przynieśli kawałek chleba czy kubeczek tej (? kipyashchaya) jak oni to nazywali, gorącej wody, bez cukru naturalnie, bo u nich cukru nie było. Pewnego dnia przyjechał nasz lekarz, Rosjanin, który był w obozie, też siedział jako aresztowany za to, że to był lekarz, który całym szpitalem poddał się w niewolę niemiecką i za to był zdegradowany, i siedział w obozie. Ale był tym naczelnym lekarzem, który też nic nie robił i nic nie miał, bo ten lekarz co miał robić jak leków nie było, prawda? Naszym lekiem w obozie była tak zwana ?margańcowka? to jest Kalium permanganicum rozcieńczony. Tak piłyśmy jak to się kiedyś dawało kiedyś kurom chorym i to było całe nasze lekarstwo. Mieliśmy też beczkę maści dziegciowej, którą smarowało się tych, którzy mieli świerzb. Dziwiłam się, że tak: wszy mnie zjadały, pluskwy mnie zjadały, tyfus mnie nie wykończył, przeszłam tyfusy, ale nie miałam świerzb, nie wiedziałam dlaczego, ale ja byłam jako pomoc lekarza i smarowałam, widocznie ten smar - przecież nie było wody, nie mogliśmy się wykapać - odstraszał ten świerzb i nie miałam tego świerzb. To, że wyszłam wcześniej z tego łagru to też zawdzięczam temu lekarzowi Rosjaninowi, który patrząc na nas - miał akurat w moim wieku córkę - tak żałował nas bardzo. On mi jeszcze tam pomógł, żebym ja była na tej liście. On akurat przyjechał do Saratowa, zobaczył nas na dworcu i pyta co my tu robimy, a my opowiadamy, że nas wywieźli w step, teraz nas przywieźli (tu) i nie możemy się wydostać. On nam załatwił, że przywieźli nam tam do Saratowa każdemu jedną świńską tuszonkę tą amerykańską na dwie osoby. My nie mieliśmy pieniędzy, więc nikt nas nie chciał wziąć do pociągu i ten lekarz pozbiierał te tuszonki i dał temu, który prowadził pociąg i on nas zabrał do Moskwy.

(43:30) Przed Moskwą nas wysadził, także musieliśmy jeszcze kawałek iść pieszo, ale to już było niedaleko. Teraz przyjechaliśmy do Moskwy, na dworcu znowu żaden pociąg nas nie bierze, bo wojska jechały jeszcze tu na zachód i cywilnych ludzi nie brali i siedzimy tak jeden dzień, drugi dzień głodni na tym dworcu. Była ze mną też dziewczynka, która była w oddziałach partyzanckich leśnych, więc poszłyśmy z nią szukać jakiegoś przedstawiciela Polski, żeby nam pomógł. Był taki pełnomocnik...

[MB]: A kto to był? Z jakich oddziałów?

[DS]: Nie, nazwiska ani imienia nie pamiętam już, nie znam, bo ja jej nie znałam. W każdym razie we dwie poszłyśmy w Moskwę i dowiedziałyśmy się, że w takim i takim hotelu jest

pełnomocnik polski, żebyśmy tam poszły. Też nie pamiętam jak on się nazywał. Iwaszkiewicz, coś takiego. Znalazłyśmy ten hotel, znalazłyśmy tego pełnomocnika. On był przerażony naszym widokiem, bo przecież, jak Pan sobie wyobraża, że ja miałam metr sześćdziesiąt sześć, a ważyłam dwadzieścia dziewięć kilo, mam też dokument ze szpitala taki, że tyle ważyłam w tym czasie. Przerażony był, mówi że nic nie wiedział, że tam w Saratowie jest taki obóz. No bardzo przykro, że Pan nie wiedział, bo powinniście się nami interesować, ale on obiecał, że on się tam zainteresuje, że będzie jakieś robił możliwości, żeby tamtych też wydobyć, no i przywiózł nas na dworzec. Tam załatwił, żeśmy dostali po misce jakiejś ciepłej stawy i załatwił nam, że jechał pociąg wojskowy oficerski i oni nas przyjęli do tego wagonu na korytarzu. Siedzieliśmy tak na korytarzu i tak dojechaliśmy do Wilna. To, cośmy przeżyli jak już przejechaliśmy granicę to Pan sobie nie wyobraża. Łzy nam ciekły. Przyjechałam do tego Wilna, nie wiedziałam, że moja mama dwa miesiące wcześniej umarła. Nie wiedziałam tego, myślałam, że mamusia wyjechała do rodziny do Krakowa, bo pisała taki list - miałam ostatni, (mówiący) że: "Dziecko, nie chcę, ale muszę wyjechać, bo inaczej muszę przyjąć obywatelstwo. Obywatelstwa nie przyjmę, więc wyjeżdżam do Krakowa i pamiętaj, że naszym punktem spotkania jest Kraków. Przyjechałam do Wilna - w Wilnie mi nie wolno się zameldować, nie wolno przebywać. Akurat spotkałam na ulicy koleżankę. Ona jeszcze nie wyjechała - bo już nie było znajomych, wszystko było puste, dom mój był pusty, ktoś tam już inny mieszkał. Nie wiedziałam ani o ojcu nic, ani o mamie nie wiedziałam, ani o siostrze młodej, trzynastoletniej, która po śmierci mamusi, po pogrzebie poszła na dworzec, bo jak przyszła do domu, to dom już tam obkoczony był przez ludzi, którzy już wszystko zgrabili. Więc ona wyszła i pojechała na dworzec, wsiadła w jakiś transport i jechała tak. Tam akurat jechała rodzina bezdzietna, zaopiekowała się nią widząc, że taka młoda dziewczynka ani nie je, ani nikt do niej nie podchodzi, siedzi taka skulona. Oni się nią zaopiekowali, ale ja nie wiedziałam, żadnych wiadomości nie miałam co się dzieje z tą moją siostrą. Postanowiłam, że muszę się dostać do Krakowa, ale teraz kwestia przekroczenia granicy do Polski była bardzo trudna, bo po prostu nie wolno mi było. A ja miałam tylko wyłącznie zwolnienie z obozu, taki świstek na takim jakimś papierze na drugiej stronie, tam były jakieś rozliczenia, bo u nich i papieru przecież nie było.

I teraz tak: chodzić nie mogę, bo miałam niedowład nóg przez ten uraz kręgosłupa w śledztwie, bo byłam bardzo bita, bardzo. Nie byłam torturowana, ale bita byłam bardzo.

[MB]: Ale po głowie też bili, czy...

[DS]: Bili. Mnie to nie bili nie tyle po głowie, ile w kark. Straszny ból, straszny, jak tam w linii tam uderzał w kark. Bili w pięty, to też bardzo silny ból, aż tu mi gdzieś na czubku głowy drętwiało. To były bardzo ciężkie takie urazy, właśnie w pięty i w to pamiętam. No i te światła takie w oczy, to też bardzo bolesne, bo się odczuwało ból aż po drugiej stronie. Na jednym śledztwie strzelano do mnie. Powiedziano: - Pomóc Ci? Bo to już twoja ostatnia godzina. - Czułam, że repetuje pistolet, ale wczuwałam się gdzie mnie trafi. Straszne to, kto tego nie przeżył, to nie wie, jak to się przeżywa. Ciężko - myślę sobie - to już koniec, a on tylko straszyl, strzelił tam do góry, ale ja dalej milczałam, także nikogo nie wysypałam, mam zresztą takie dowody swojego śledztwa. Jak przyjechałam do Wilna, zaopiekowała się mną jedna moja znajoma, właśnie ta moja koleżanka, która mnie spotkała na ulicy i zabrała do siebie. Ukrywałam się tam u nich tydzień. Tam się dowiedziałam o śmierci mojej mamy. Ale jak to ludzie, są różni. Ktoś doniósł, że jest jakaś obca osoba. Zaczęła przychodzić milicja sowiecka (z pytaniem) "kto tu mieszka?". Myśmy powiedzieli, nikt nie mieszka, bo ta osoba tylko przyszła nas odwiedzić i już poszła.

(49:13) Przeprowadzono mnie do innej rodziny i tamta rodzina się mną zaopiekowała. Ponieważ jeszcze było troszkę Polaków, był taki lekarz młody, Polak, który jeszcze zostawał w Wilnie. On pracował w szpitalu w Kownie z tym profesorem który nazywał się Kiturakis, też Polak. On mnie tam zabrał do Kowna do szpitala i mieli mi operować ten kręgosłup, właśnie mam to zaświadczenie ze szpitala, że był uraz kręgosłupa. Ale następnego dnia, kiedy mnie już przygotowywali do operacji, zjawiała się pewna pani, której nie znałam. Przedstawiła się i zapytała, czy ja chcę do Polski się przedostać, bo tam razem zakkonice, Pani Augustowska, widocznie ona też była w to wmieszana. Powiedziała mi, że oni chcą przerzucić grupę i zapytała mnie, czy ja się zgadzam. Zgodziłam się, ona mi przyniosła ubrania i wykradła mnie po prostu z tego szpitala, tak zresztą przyznaje też ten lekarz, że opuściłam szpital i operacja się nie odbyła. Ta Pani się mną zaopiekowała, mieszkałam u niej jeszcze przez jakiś czas, dopóki one to zorganizowały tę grupę. Przeprowadzał nas przez granicę pułkownik NKWD. Bałyśmy się bardzo, bo to trzydziestoosobowa grupa, że on mógł wziąć to złoto, mógł wziąć pieniądze, a teraz nas mogą wywieźć do lasu i rozstrzelać, ale był na tyle uczciwy, że nam pozwolił przejść. Tylko dał nam 15 minut, żeby przejść ten pas graniczny, bo jeżeli nie przejdziemy to granica akurat się zamykała, to było przed zamknięciem granicy i wtedy on już nam nic nie pomoże, a my wszystkie takie niedołążne, słabe, ale jakoś przeszłyśmy.

(51:12) Przeszłyśmy na drugą stronę i teraz jesteśmy na terenie Polski już, ale nie wiadomo jak i do kogo się tutaj udać, prawda? Kiedyś budowano zawsze najwyżej kościoły, prawda?

Zawsze ta wieża kościelna i krzyż były nad wszystkimi domami. Widzimy, że tu jest kościół, więc najlepiej będzie się udać do księdza. Poszliśmy do księdza, ksiądz nas przyjął bardzo serdecznie. To była wieś **Czarna Góra** pod Białymstokiem. Tam myśmy nocowały, ksiądz nam kazał się pomodlić, potem kazał gosposi żeby zarznęła kury, żeby zrobiła rosół. My tu jeść chcemy, a on nas rosółkiem częstuje, bo się bał, żeby nas nie przekarmić, jak takie zagłodzone zobaczył. Ale nas bardzo serdecznie przyjął i po trzech dniach, akurat po raz pierwszy z tej **Czarnej Wsi** jechał pociąg do Białegostoku. Ksiądz nam załatwił, że nas przyjęli do takiego też wagonu bydłowego no i jechaliśmy, ta trzydziestoosobowa grupa, jechaliśmy do tego Białegostoku. Ale przed Białymstokiem, gdzieś w połowie drogi do Białegostoku maszynista zatrzymał pociąg i w lesie odpiął nasz wagon i myśmy zostały w tym lesie. To już był październik, koniec października, to już bardzo było zimno. I teraz tak, jechały też z nami też kobiety, które miały małe dzieci. Te dzieci płaczą, one nie mają pokarmu, nie mają co dać jeść i w tym lesie nie wiadomo co robić, więc znowu z tą partyzantką poszliśmy w las i na trafiłyśmy na żołnieza, na patrol sowiecki. Bardzo żeśmy się przestraszyły, myślałyśmy, że znowu przeszliśmy tę granicę nie znając terenu i może znowu jesteśmy na tej stronie, i znowu gdzieś nas do łagru zabiorą. Ale okazał się taki możliwy człowiek, zapytał nas skąd jesteśmy, powiedzieliśmy, że my jesteśmy z łagru, że jedziemy do Polski, że został odczepiony nasz wagon i jesteśmy tu, a są dzieci małe i prosimy o jakąś ciepłą wodę. Więc on tego **?kipitku?** nam dał w jakiś taki dzban no i przyniosłyśmy to do pociągu.

(53:38) Babki miały trochę cukru, więc tam wodą z cukrem przez smoczek dzieci nakarmiły, a my czekałyśmy do rana, ten żołnierz nam powiedział, że dopiero rano przyjeżdża sowiecki samochód towarowy po drzewo do lasu i że sowieci nas zabiorą. Te starsze panie bały się gwałtów, że nas będą gwałcić, więc nas poubierały w chustki, pozakręcały nas i mówią “wy się tak nie pokazujcie, my się będziemy pokazywać.” Rzeczywiście rano przyjechali sowieci, powiedzieli, że właściwie oni nie mają prawa nas wieźć, bo oni załadują drzewa, a na drzewie nie możemy jechać, no ale jakoś tam babki powłaziły na to drzewo i powiedzieli, że nas pod Białystok przywiozą, do samego Białegostoku nie mogą. A ja, ponieważ nie miałam siły wdrapać się tam wysoko, to stałam przy szoferce, na stopniu i tak dojechaliśmy do Białegostoku. Pod Białymstokiem, już przed Białymstokiem kazali nam zejść i iść pieszo, no tośmy doszły tam do dworca w Białymstoku. Tam już się nami zajął Czerwony Krzyż, dostałyśmy jeść.

Teraz znowu dostać się do Warszawy była trudność. My nie miałyśmy ani grosza, nigdzie zapłacić nie miałyśmy czym, ale dostałyśmy jeść, zabrano nam te zwolnienia z obozu, tylko

wydano inne zaświadczenie, że byliśmy w takim i takim obozie, że zostaliśmy zwolnione, wszystko z pieczętką. Dalej, teraz dostać się do pociągu nie było mowy, bo wojska polskie jechały, dla wojska były pociągi. Ludzie leżeli tygodniami na tym dworcu ze swoimi bagażami. Wyszliśmy znowu z tą partyzantką. Spotkałyśmy dwóch młodych oficerów polskich. Podeszliśmy do nich i poprosiliśmy, że jedziemy z łagru, że nie mamy pieniędzy, żeby kupić sobie taki przejazd, żeby oni nam pomogli jakoś dostać się do Warszawy. Ci oficerowie nam pomogli. Powiedzieli: “o pierwszej w nocy przyjdziecie tam na rampę - nie pamiętam, jedenasty czy trzynasty wagon od tyłu - i tam żołnierz będzie stał na warcie, będzie wiedział i was zabierze. Rzeczywiście tak było i tak dojechaliśmy do Warszawy.

56:03 W Warszawie to była rozpacz. Jak zobaczyłam Warszawę to nie wiedziałam po co ja tu wróciłam. Stałam tak bez domu, bez rodziny, zupełnie bez niczego, bez grosza i patrząc: ruina. Wiedziałam, że ludzie gdzieś wchodzi w te ruiny, ale pomyślałam sobie po co jak tu wróciłam, co ja tu będę robiła.

[MB]: Ja gdzieś słyszałem, że w Warszawie zostawiano takie kartki jak osoby się różne szukały, że są w takim i takim mieście.

[DS]: Ale ja w ogóle nie mogłam poznać tej Warszawy, nie wiedziałam, jak się ruszyć z tego, ale jechałam z panią, żoną pułkownika z Wilna, panią **Wilczyńską/Bilczyńską** i ona miała tam siostrę w Warszawie, której dom został, tam przy Pałacu Kultury jest taki szereg domów, które jeszcze pozostały, nie zostały zburzone i ta żona też pułkownika tam mieszkała. I ta żona pułkownika też tam mieszkała, no i pani **Wilczyńska/Bilczyńska** podeszła do mnie i powiedziała “Danusiu, ja Ciebie nie zostawię samą, jedziesz ze mną do mojej siostry.” Poszłyśmy tam, zastałyśmy tę siostrę, była wielka radość jak się spotkały one i też ta pani pułkownikowa bardzo mnie serdecznie przyjęła i powiedziała, że “póki nie znajdziesz rodziny to jesteś tak jak moja córka i tu zostajesz.” Ale ja chciałam koniecznie odszukać rodzinę, chciałam się dostać do Krakowa. Okazało się, że to nie było takie łatwe z Warszawy do Krakowa dostać się znowu do pociągu, a tym bardziej bez pieniędzy, bez niczego. Ta pani pułkownikowa miała dwóch synów młodych, których jeden z kolegów handlował złotem Warszawa-Kraków. On miał pieniądze i on powiedział, że on mnie zawiezie do Krakowa i on ma miejsce, on zawsze jeździ pociągiem pocztowym, bo on tam płacił i tego, więc on zapłacił temu kolejarzowi, przyjął mnie do tego pociągu i tak mnie dowiózł do Krakowa. Przyjechałam do Krakowa i teraz myślę tak: myślę iść gdzieś szukać moją rodzinę, bo dziadków wykwaterowali z dawnego mieszkania, także nie znałam adresu, ale gdzieś jakiś

urząd jest, może się dowiem, gdzie oni mieszkają. I jak na filmie, taki był traf, że schodząc po schodkach, wychodząc koło dworca na schodkach spotkałam siostrę swoją. Ona mówi, że tatuś jest, że przyjechał po nią, że ona szła na dworzec po bilet, bo mieli wyjechać w tym dniu.

(58:29 - 58:40 problem techniczny)

[...] Zatrzymaliśmy się jeszcze u rodziny, bo już wiedziałam, dziadek wtedy był przeniesiony, dostał mieszkanie gdzieś tam koło plant, niedaleko miałam z dworca. Doszliśmy i rodzina była zaskoczona jak mnie zobaczyła, tatuś mało nie zemdlał. Jeszcze tydzień siedziałyśmy w Krakowie, tak się mną rodzina zaopiekowała, ubrała, bo przecież ja miałam tylko worek, z worka po kartoflach miałam uszytą spódnicę, jakąś bluzkę zrobioną, bo ja wszystko sprzedawałam w obozie, żeby jakoś się utrzymać przy życiu. Dziadek chciał, żebym została, że w tym mieszkaniu będę mogła mieszkać, bo on wiecznie żyć nie będzie, to już był wiekowy pan, już miał ponad 90 lat, ale ja chciałam być z rodziną, chciałam być we własnym domu powiedziałam, że będę studiowała tutaj w Krakowie, ale ja powiedziałam, że ja muszę najpierw odpocząć. Cieszyłam się, że spotkałam ojca, że odzyskałam siostrę i wróciłam. Tatuś tu był w wojsku koło Choszczna, w Drabnie. Wtedy się nazywał **neunWedel?** - dziewięciu Wedłów, braci, tam miało wszystkie majątki. Tatuś tam był w wojsku i ja tam pojechałam. Tam byłam od 1944 roku, to już był koniec listopada, do 1949 mieszkałam w **Drawnie**.

[MB]: Od którego? Bo pani była w...

[DS]: W 1945 wróciłam, w listopadzie i tam przyjechałam, już śnieg był. Tam mieszkałam do 1949 roku.

[MB]: A kiedy Pani granicę przekroczyła?

[DS]: W 1945.

[MB]: W jakim miesiącu?

(1:00:26) [DS]: We wrześniu, czy na początku października to było... W październiku, w październiku przekroczyłam granicę, no a tutaj mieszkałam w tym **Drawnie** do 1949 roku i w 1939 roku mąż mój dostał pracę - bo spotkałam się z nim, mąż się dowiedział, że ja wróciłam

i odszukał mnie, jeszcze wtedy nie był moim mężem. Tam pobraliśmy się w Drawnie i pojechaliśmy do Darłowa, bo tam mąż dostał pracę. W Darłowie były znowu komplikacja, bo ja, jako “Czarny”, ‘przeklęty’ czy tam ‘wyklęty’ żołnierz innych dokumentów nie miałam, tylko dokument zwolnienia z obozu, w których było napisane, że siedziałam za zdradę ojczyzny, za współpracę z Armią Krajową. Więc byłam czarną owcą, a Darłowo to było na pasie granicznym, więc nie wolno mi było się zameldować. Mąż powiedział, że on w takim razie rezygnuje z pracy, a wówczas nie było takich fachowców jak on, bo on był włókniarzem i sieciarzem, a to jeszcze u nas nie było takich fachowców w Polsce, więc im bardzo zależało (na nim), mąż budował fabrykę. Mąż dał warunek: jeżeli żony nie można zameldować, to on też wyjeżdża ze mną. Po jakimś czasie mnie tam pozwolili się tam zameldować, ale tak zameldować, że ja przez jakiś tam tydzień lub dwa musiałam się meldować codziennie w komisariacie, że jestem, nie wolno mi było wyjeżdżać. Tam przebyłam dosyć długo, ale było trudno, bo tak: mąż nie chciał wstąpić do partii, więc go zwolniono z pracy, dostał wilczy bilet.

[MB]: A gdzie pani męża poznała?

[DS]: Ja w Wilnie poznałam, bo ja go odprowadzałam do oddziałów leśnych.

[MB]: A w jakich oddziałach?

[DS]: W trzeciej brygadzie.